

Tomasz Sulewski: Trzeba było nie robić

Nie potrafię zrozumieć braku wrażliwości na kobiety w ciąży i z małymi dziećmi



Nie potrafię zrozumieć braku wrażliwości na kobiety w ciąży i z małymi dziećmi

Człowiek czasem nie dostrzega różnych rzeczy, dopóki się o nie potknie. Może to kwestia tego, że egoistycznemu ciału najbliższa koszula, a może tego, że potrzeba – matka wynalazku, sama jest córką świadomości i bez tej ostatniej ani rusz. Dość rzec, że przez kilka ostatnich tygodni dużo wyraźniej niż kiedyś dostrzegam, jak bardzo nietaktowne stało się życie codzienne Polaków. I nie mam tu wcale na

myśli politycznych przepychanek i medialnych bojów, bo to akurat żadna nowość. Chodzi o najzwyczajniejsze ludzkie współobcowanie – w kraju, który szczyci się swoją gościnnością i szarmanckością.

W jednym z opowiadań Scotta F. Fitzgeralda jest taka scena, gdy trzech młodych Amerykanów jedzie autobusem. Nagle na przystanku wchodzi do niego równie młode kobiety, więc mężczyźni zrywają się natychmiast z siedzeń, aby ustąpić im miejsca. Niestety, kobiety są cztery, a wolnych miejsc tylko trzy – czwarte zajęte jest przez wracającego z pracy robotnika fabrycznego. Gentelmani zwracają mu uwagę, że powinien ustąpić miejsca damom, jednak robotnik nie dość, że tego nie robi, ale jeszcze odpowiada, że nie widzi ku temu żadnego powodu – przecież jest zmęczony. Sprawa kończy się draką. Los pań nie jest do końca znany.

Zastanawiające, jak szybko dogoniliśmy, a nawet przegoniliśmy Zachód w tej materii. Jeszcze mój dziadek za oczywiste uważał wstać, kiedy do pomieszczenia wchodziła dziewczyna (także młodsza), aby to ona mogła usiąść. Ale pal licho panienki młode, zdrowe i pełne wigoru. Mogę przyjąć roboczo, że w imię walki z opresją patriarchy i zmian kulturowych społeczeństwo poprzez milczącą zgodę uznało, że lepiej, żeby stały ramię w ramię z mężczyznami – skoro mogą stać przy taśmie w fabryce albo siedzieć w zarządzie banku, to mogą i w metrze. Za nic jednak nie potrafię zrozumieć braku wrażliwości na kobiety w ciąży i z małymi dziećmi.

Jechałem niedawno metrem, w godzinach wczesnopopołudniowych. O tej porze nie ma tłoku, więc wagon był dość luźny, jednak wszystkie miejsca siedzące były zajęte – przez mężczyzn i jedną starszą panią. Na kolejnej stacji do pociągu wsiadła młoda kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży. Żaden z mężczyzn, w różnym wieku, nie wstał, aby mogła usiąść – choć (sam nie wiem, czy policzyć to na plus, czy raczej na minus) wcale nie udawali, że jej nie widzą. Ot, chce się jej jeździć metrem, to niech stoi. Przecież wszyscy równi, „jestem feministą”, itd. Ostatecznie, po kilkunastu sekundach z siedzenia uniosła się starsza pani, mówiąc: „proszę usiąść, ja i tak zaraz wysiadam”. I wysiadła – trzy stacje dalej.

Przykład inny. Warszawa Centralna, dworzec kolejowy. Każdy, kto próbował przedostać się pod nim z jednej strony na drugą wie, że jest to istny labirynt – nie tylko splątanych korytarzy, ale także zwyżek, zniżek, schodów ruchomych (choć często tylko z nazwy) i nieruchomych. W tym labiryncie z wózkiem, w którym jest małe dziecko idzie kobieta, także w widocznej ciąży. Dookoła kłębi się codzienną bieganiną tłum. Kobieta dochodzi do schodów i zaczyna sama wciągać wózek w górę. Tłum ani na moment nie zwalnia. I gdybyż to jeszcze były biegające wkoło klony prof. Mikołajki, wówczas można byłoby uznać, że to po prostu specyficzne umysłowo środowisko i nie należy się niczego spodziewać. Ale to normalni mężczyźni, którzy mają swoje dziewczyny, żony, matki. Którzy powinni rozumieć, że kobiecie trzeba pomóc – każdej, a już tym szczególnie, jeśli jest z dzieckiem. Kto wie, może nawet to rozumieją. Ale żaden z nich nie zatrzymuje się, na kilka sekund, żeby pomóc.

Takich przykładów jest naprawdę dużo – łaska na twarzach ludzi, którzy przesuną się o 10 cm, gdy do autobusu wjeżdża wózek („gdzie się pcha, dziecióróba jedna”), kłótnie w kolejkach („ale co, że pani bez kolejki, co mnie pani ciąża obchodzi”), „ślepotą” uliczna. Nie wiem, czy to efekt zbiorowej nieśmiałości, „nauk” płynących z ust różnych autorytetów, słomy w butach utrudniającej myślenie (bo łaskocze), czy ogólnego tumiwisizmu. Pamiętam jednak, jak jakiś czas temu Warszawa kpiła z Zarządu Transportu Miejskiego, który w środkach komunikacji umieścił naklejki „ustąp mi miejsce”. Że żenada, że nie po polsku, że obciach korektorski. Dziś w autobusach, tramwajach i metrze możemy przeczytać poprawną już prośbę „ustąp mi miejsca”. Tylko co z tego? No właśnie – „trzeba było tych dzieci nie robić”, prawda?

Tomasz Sulewski